

## Planeta: Devon

Nim znów zaczną marzyć o śmiechu, jeszcze walczą – zmęczeni, złani potem i oblepieni piachem. Ich luźne stroje są miejscami porwane, wysłużone, przesiąknięte niezmywalnym, podświadomie rażącym zapachem ciosów i setkami takich walk. Tych dwóch chłopców, w wieku ośmiu i dziewięciu lat, nie pierwszy raz staje naprzeciw siebie. Hatsu uderza Maksymiliana, który pada na ziemię, nie mogąc wykonać kontry. Nie może też się podnieść. Siła ciosu sprawia, że jest zamroczony i myśli nieskładnie, jakby cały świat był niepasującymi do siebie puzzlami. Dotyka palcem rozciętego łuku brwiowego i widzi zawieszoną na palcach krew, której kropla spada ciągnięta grawitacją.

– Byłeś blisko, naprawdę – skomentował Hatsu, łapiąc oddech.

Maksymilian podnosi wzrok i patrzy zdeorientowany na brata. Trwa to chwilę, po czym wybudza się z zawieszenia i mówi, oddychając ciężko:

– Następnym razem. – Wyciąga rękę po pomoc przy wstawaniu.

– Ojciec mówi, że trzeba wstawać samemu, bo nie zawsze będzie ktoś, kto pomoże – zauważył starszy, nie ignorując jednak niemej prośby.

– Ojca tu nie ma.

– Ja też nie zawsze będę. – Hatsu uśmiecha się do brata, a ten odwzajemnia się bolesnym grymasem.

Dzieci, mimo dorosłych ran i siniaków, mimo obić, stłuczeń i okaleczeń, w jakiś sposób zachowują w sobie jeszcze resztkę dziecięcej naiwności.

– Jestem tu! – zabrzmiał głośny, basowy pomruk, głos powagi i władzy. Ojciec chłopców zjawił się jakby znikąd. – Hatsu ma rację – skwitował.

Maksymilian stał chwiejnie, dochodząc do siebie jak po ciosie obuchem. Jego myśli były pojedynczymi nitkami ulatującymi na wietrze. Walczył z falą zmęczenia i niedotlenienia, świat, który widział, nadal wirował. Kroczył w półświadomości, przygnieciony reprimendą, opuścił głowę pod ciężarem potępienia, jakby już teraz mierzył się ze swoim dziedzictwem.

– Walczcie raz jeszcze. – Ojciec wypowiedział to jak rozkaz – Maksymilianie, masz dać z siebie wszystko. Gdy padniesz, wstaniesz sam. A ty, Hatsu, masz wygrać. Jutro wyjeżdżasz do akademii, a to, co pokazujesz, jest niczym. Musisz być najsilniejszy w klanie, najsilniejszy w swoim roczniku. Chcesz mi przynieść wstyd i hańbę? Mi i pozostałym Laterom!? Nie tego cię uczyłem.

Te słowa coś zapaliły w Hatsu, jakieś poczucie obowiązku, który powinien spełnić. Maksymilian jeszcze dochodzi do siebie, gdy brat niespodziewanie atakuje go druzgocącą i miażdżącą kombinacją ciosów. Wykonuje serię, której nauczył go ojciec. Mimo niedokładności i chaosu ciosy osiągają cel, są bolesne, wnikliwe i na swój młodzieńczy sposób nieokrzeseane. Mają nie tylko pokonać wroga, ale przede wszystkim odebrać mu nadzieję, odebrać mu wolę walki. Po chwili uderzenia stały się mocniejsze, szybsze i precyzyjniejsze. Bez niedomówień, kompletne. Ciało Hatsu działało jak maszyna, nie analizująca, realizująca wyuczoną sekwencję. Młodszy nie miał szans zareagować, otumaniony i przygnieciony ciężarem poprzedniego ataku w końcu upadł na ziemię.

Aleksander nie komentował poczynañ pierwородnego, nie kibicował mu i nie wspierał. Temu, który przegrał, nie współczuł i nie przynosił słów pocieszenia. Uruchomiwszy pewien proces, wracał do roli obserwatora. Walka odbyła się w kontrolowanym otoczeniu i mimo cierpienia nie istniało realne zagrożenie. By wykuwać stał, trzeba ją rozgrzać i nie liczy się metoda, liczy się efekt. Nawet jeśli dla chłopców ta walka była pełna konsekwencji, to musiała się dokonać. Uśpiona siła nie może czekać na przebudzenie, gdy istnieje ciągle zagrożenie, trzeba ją wyrwać z letargu, odzyskać z zapomnienia. Walcząc przeciw sobie, hartują się i wykuwają.

Aleksander odszedł, nie czekając do końca walki. Już wcześniej wiedział, kto zwycięży. Maksymilian jest nieprzytomny. Jego przeciążone ciało nie ma siły, by wykonać jakikolwiek gest, by więc się z bólu czy wzywać pomocy. Są chwile, w których jesteśmy bezbronni wobec zdarzeń, których nie dało się uniknąć, które nadeszły i opłotły nas swoją potęgą – gniotąc, pożerając i wypluwając.

Hatsu spojrział na pokonanego i chwilę później odszedł. Odszedł, podświadomie kończąc pewien proces, nim adrenalina opadnie, nim wzrok, zamiast widzieć zwycięstwo, dostrzeże ogrom zadanych krzywd. Pewne ścieżki prowadzą do zbawienia, inne do ignorancji i widzenia selektywnego, ale my zawsze wybieramy te ciężary, które są najłżejsze. Nie istniała w nim odwaga umożliwiająca ujrzenie w sobie bestii, była ignorancja wobec zadanych krzywd, jego sumienie się nie przebudziło. Odwrócił się, nie mierząc się z rzeczywistością, akceptując obecny stan rzeczy jako normę i zaczął podążać śladami ojca. Od tej chwili wiedział, że słabsi przegrywają. Zrozumiał nauki Aleksandra, że w odpowiednim czasie zbawienie klanu przyjdzie przez siłę, bo czasem dobro i miłość to zbyt mało. Czasem, by zbliżyć się do nieskończoności, trzeba utwardzić się i przekuć swą duszę, nawet jeśli w wieku dziewięciu lat nie jesteśmy w stanie tego nazwać.

Wiele godzin później, w środku zimnej nocy, Maksymilian odzyskał przytomność, łapiąc najłapczywiej jak tylko mógł ten pierwszy świadomy oddech, który jakby wyrwał go z koszmaru. Przebudzenie przyniosło przeszywający ból i cisnęło nim w klatkę piersiową chłopca. Samo siadanie zajęło mu sporo czasu. Uświadomienie sobie, gdzie jest i co się wydarzyło, wymagało go jeszcze więcej. Był zbyt słaby, zbyt rozbity i za bardzo obolały. Dostrzegł w oddali jednego ze strażników, który obserwował go i ochraniał zgodnie z wytycznymi – hart ducha musiał jednak przyjść sam, musiał wstać bez pomocy. Po kolejnych minutach rozdarty i złamany błędził półprzytomnie wzrokiem po rzeczywistości – siedział tak upodlony i pokonany jeszcze kilkanaście minut i znów spróbował wstać. Czuł zimno, pragnienie, głód i coraz potężniejszy ból. Wszystkie te bodźce mieszały się i modulowały, a on nie mógł tego oswoić. Został obrócony w nicość, bez szans na pomoc w odrodzeniu, zdany na siebie, porzucony i zmuszony ocalić się sam. Niebo mieniło się tysiącami gwiazd, a on podnosił ku niemu swoją poobijaną i obolałą twarz. Widział i czuł to odległe światło i zanurzył się w ogromie tego, co nieznane. Robił wszystko, by jakimś cudem zmysły wyłączyły ból. Kolejne chwile przytłaczały go i łamały.

W końcu poczuł, że może wstać. Zrobił to i zaczął iść powoli do domu. Słowo to nigdy jeszcze nie było dalsze od myśli i uczuć, które powinno przynosić. Po drodze poczuł w sercu obecność kogoś będącego daleko, a jednocześnie bliskiego. Był bardzo zmęczony. Nie wchodził w siebie głębiej, aby szukać przyczyn. I tak zrobił dziś więcej, niż powinien, a wciąż żył. Poczuł się o tyle lepiej, że jego wolny krok stał się bardziej miarowy, wciąż wolny, ale miarowy. Czuł, że przyjął wszystko odważnie w imię jakiejś własnej powinności, jakby stał nad brzegiem, unosił głowę i zadzierając brodę robił krok w nieznane. Po czasie zmysły wróciły i wyczuł obecność podążającego za nim

strażnika. Wrócił do domu w ciszy, by nie budzić nikogo. Zjadł pozostawione na stole w kuchni zimne jedzenie, następnie wszedł do swojej komnaty i położył się na łóżku w ubraniu. Zamknął oczy. Zasnął.

\*\*\*

Obudził go ten sam sen, ustawicznie powtarzający się przez lata, wciąż przywołujący tak trudne do oswojenia wspomnienia. Minęło ponad szesnaście lat od czasu tej przeklętej walki, która zmieniła tak wiele, a ilekroć zamykał oczy, wszystko powracało, jakby wydarzyło się wczoraj. Był zakotwiczony w tym momencie swojej przeszłości. Czasem zdarzają się chwile, które zmieniają nasze życie, pamiętamy je krystalicznie czysto, są granicą, za którą przeszłość stała się rozmyta, bardziej obca i nieoswojona, jakbyśmy nie żyli tam wcześniej i musieli zaczynać wszystko od nowa.

Usłyszał pukanie do drzwi i głos dochodzący zza nich.

– Ojciec nakazuje się pośpieszyć. Wyjazd do akademii za godzinę – powiedział jeden ze służących.

– Dobrze. Proszę przekazać ojcu moje przeprosiny. Zejdę za kilka minut.

Maksymilian wstał, mając na sobie jedynie luźne spodnie. Był dobrze zbudowany i wysoki. Miał krótko ścięte blond włosy, ciemno niebieskie oczy i wyraźną linię szczęki. Jego muskulatura była subtelna i zapewniała utrzymanie punktu równowagi pomiędzy siłą a szybkością. Poszedł do łazienki i wziął szybki prysznic, następnie ubrał się i był gotów na śniadanie. Mieszkali w najważniejszym pałacu klanu Later, który łączył w sobie styl orientalny oraz modernistyczny, wskazujący, że na przestrzeni ostatnich wieków doszło do rewolucji przemysłowej.

Wyszedł ze swojej komnaty na długie, surowe, szare korytarze, pełne prostych i jednocześnie wyrazistych malowideł oraz połamanego uzbrojenia, z którego każde miało historię heroicznych batalii – obrony przed najeźdźcami czy też budowania sojuszy – trwałych, kruchych, zmiennych i chwilowych, upamiętniając przede wszystkim podboje. Ten świat nie był oswojony z pokojem. Pokój byłby jak wirus, jak śmiertelna choroba, na którą nie ma lekarstwa, jak konsumpcja, która nie może się zatrzymać i jak podatki, które muszą rosnać.

Maksymilian dołączył do rodziny i usiadł obok Hatsu, który był podobnej, lecz mocniejszej postury i budowy ciała. Miał jednak czarne włosy, zaś jego spojrzenie potrafiło wzbudzać obawę. Na przestrzeni lat nic się nie zmieniło. Hatsu wciąż był numerem jeden. Przy stole obok niego siedział również ich ojciec Aleksander oraz dziadek Tymoteusz. Mężczyźni byli masywni, ale nie karykaturalnie przerośnięci. Dwaj wytrenowani giganci, których ruchy były toporne, miarowe i pokazujące niemal w każdym geście zapowiedź siły, którą są w stanie uwolnić.

Masywne, stalowo-drewniane krzesła zdradzały swoje zmęczenie, poskrzypując od czasu do czasu. Ubrani byli jeszcze w luźne bluzy, przypominające dresy. Chwilę wcześniej skończyli wspólny trening na zasadach obowiązujących również chłopców od najmłodszych lat – ktoś musiał wygrać i ktoś musiał przegrać. Kończyli śniadanie i dopiero wtedy szli się przebrać. U każdego z nich na prawym przedramieniu faktura materiału zdradzała obecność obręczy, zaczynającej się nad nadgarstkiem i kończącej przed łokciem. Zamontowano je na stałe lata temu, gdy każdy z nich przeszedł swoją próbę. Nie miały w tej chwili załadowanych sfer queenum – wysoce energetycznych minerałów wydobywanych w kopalniach Devon i poddawanych procesowi rafinacji w jednym z należących do klanu centrów produkcyjnych. Zawsze w pobliżu mężczyzn

znajdowali się oddani wojownicy, mający przy sobie ustabilizowane kryształy i gotowi do obrony swoich władców.

Klan Later żył w trudnych i burzliwych czasach wojen i chwilowych sojuszy, więc w każdym miejscu, w którym się znajdowali, towarzyszyła im straż przyboczna, gotowa w ciągu kilku sekund dostarczyć pełne zasilanie dla obręczy. Zarówno Tymoteusz, jak i Aleksander miał przy pasie magazynek, w którym znajdowała się jedna kula queenum, jako plan B. W tych konstrukcjach nie mogliby przechowywać więcej minerałów. Grafitowe tuleje, hamujące niestabilność materii, nie wytrzymałyby większego obciążenia. Na wypadek regularnych walk ochrona zawsze miała przy sobie tuleje, w które wkładało się obręcz i które, dzięki mechanizmowi zapadek, przypinały się i łądowały kryształy.

W kryształach przypiętych do obręczy dochodzi do reakcji łańcuchowej której nie można zatrzymać. Uwolniona energia zasilala obręcz i była gotowa do działania niczym pracujący na wysokich obrotach silnik. Uruchomienie przepływu do ciała było jak wciśnięcie pedału gazu i ruszenie z pełną mocą. Nieaktywowane queenum w obręczy wyczerpywało się, ale działające przekładało energię na niesamowitą siłę, prędkość i inne umiejętności. Hatsu patrzył na te obręcze, wiedząc, że niedługo sam będzie taką posiadał i dołączy do tych dwóch czempionów.

Klan Later ma wielu wrogów i na barkach braci w przyszłości spocznie olbrzymie brzemie. Dla niektórych być czymś więcej niż inni, to dojście do punktu ostatecznego poświęcenia, ale na swoich zasadach i z wyboru. Dla innych to odpowiedzialność zbiorowa, dziedzictwo i kontynuacja zadań klanu.

Kilkanaście minut po śniadaniu czterej mężczyźni spotkali się przy wyjściu. Ubrani byli w długie płaszcze, pod którymi znajdowały się galowe mundury – Tymoteusza i Aleksandra były ciemnoniebieskie, bez odznaczeń i emblematów, zaś Hatsu i Maksymilian ubrani byli w uniformy adeptów akademii, Hatsu z emblematem ostatniego roku, zaś Maks – przedostatniego. Oba mundury były w szarym kolorze.

Przed pałacem stała kolumna pojazdów, w skład której wchodziły toporne i wysoce opancerzone samochody. Zwłaszcza przody każdego z nich były wyjątkowo długie i cylindryczne – ukrywały elektryczno-magnetyczne silniki napędzane queenum, które działało jak bateria – sfery były dużo mniejsze, granulowane i o mniejszym stężeniu substancji aktywnej.

Każde urządzenie mechaniczne na Devon swoje działanie opierało na dostosowaniu prędkości uwalniania queenum poprzez mechanizmy zapadek zwiększające lub zmniejszające przepływ energii do wirnika silnika elektro-magnetycznego. Mechanizmy te musiały być toporne i bezpieczne, gdyż przeładowanie nadmiarem mocy mogło doprowadzić do stopienia wirnika. Wydajność queenum w maszynach była dużo niższa niż obręczach, jakby zrodziło się ono dla materii organicznej; procesy chemiczne w ciele były bardziej efektywne niż mechaniczne w silnikach.

Mężczyźni wsiedli i czekali. Dowódca straży przybocznej dokonywał przeglądu konwoju.

Poza pojazdami osobowymi przed pałacem stały dwa opancerzone transportery, w których znajdował się elitarny oddział przyboczny, zaś za nimi gotowe do drogi trzy transportery typu cargo. Na każdym z nich znajdowały się napędzane queenum egzozskielety w trzech rodzajach: pancerne zwane taranami lub zaporami, których ruchome pancerze w sytuacji zagrożenia formowały się w barykady; obronne, umożliwiające bezpośrednią walkę w większej formacji, oraz szpice – nakierowane na uzyskiwanie jak największych prędkości i zadawanie największych obrażeń przy

minimalnym opancerzeniu. Do zadań ostatniej z tych grup należał transport tulei queenum dla wojowników oraz niszczenie celów po przełamaniu linii obrony wroga. W chmarze były niczym szarańcza, niszcząca wszystko na swej drodze. Operatorami egzozszkieletów zostawali ci adepci akademii, którzy nie przeszli próby obręczy i mimo braku podatności na queenum, wciąż pozostawali doskonałymi wojownikami.

Queenum było na Devon jedynym nośnikiem energii umożliwiającym wprawianie mechanicznych urządzeń w ruch, poza tym odpowiadało za siłę i moc wojowników, więc w prostym równaniu, ten kto miał największe złoża, najoptymalniejszy proces rafinacji, najlepszych inżynierów i najwięcej wojowników reagujących na queenum oraz maszyn przez nie zasilanych, ten mógł dążyć do największych wpływów i nieskończonej władzy. Spragnionym absolutu wystarczy jeden powód, by rozpętać liczoną w wiekach wojnę. Na Devon powodów, by odbierać życie, było aż nadto. Jeśli dodać do tego jeszcze niedobory queenum i kończąca się trzecią erę wydobywczą oraz niepewność zaistnienia czwartej, ostateczna wojna była kwestią najbliższych dziesięcioleci.

Konwój ruszył.

Na Devon znajdował się jeden olbrzymi kontynent, zamieszkiwany przez siedem klanów nacji Husarian. Poza nimi, na pustkowiach przepalonych wojnami ziemi, w ukrytych wioskach, żyły niedobitki nacji Demian. Ci wojownicy, niegdyś tak samo wielcy jak Husarianie, umieli stosować queenum. Chcieli wykorzystać wojny klanów, by przejąć władzę. Nie przewidzieli jednak, że skonfliktowane rodziny zawrą stuletni sojusz, by ich pokonać, jednocząc się w myśl zasady, że wróg mojego wroga umrze teraz, a reszta później. Przegrali wojnę, zostali zniewoleni i skierowani do najtrudniejszych prac w kopalniach.

Kolejną nacją na Devon byli Odyci, których organizmy reagowały w minimalny sposób na minerał. Byli jednak niezwykle inteligentni i to dzięki ich eksperymentom powstały obręcze, rafinerie i silniki magnetyczne. Byli pokojową i gotową do współpracy i wymiany nacją. Podczas wojen wykorzystywali chwilowe sojusze z Husarianami i Demianami, by rozwinąć się technologicznie. Umożliwiło im to odgrodzenie się od reszty świata polem energetycznym napędzanym queenum. Jest ono widoczne z odległości kilkuset kilometrów jako świetlista luna na horyzoncie.

Stuletni pokój dobiegł końca, Demianie zostali pokonani, a klany wróciły do własnych wojen. Walczą nie tylko między sobą, ale także indywidualnie starają się sforsować pole siłowe. Każdy wie, że taka ochrona wymaga olbrzymiego zasilania, co pozwala przypuszczać, że za nią znajdują się największe kopalnie queenum na planecie. Przywódca klanu, który sforsuje pole i pokona Odytów, stanie się władcą nowego świata, będzie imperatorem nowej ery.

Po kilku godzinach konwój dojechał do pierwszego przystanku – głównej kopalni Verigarm i mieszczącej się w niej centrali procesów wydobywczych dla wszystkich złóż. Wizyta nie była oficjalna, więc obeszło się bez zbędnych uroczystości i powitań. Cała czwórka udała się od razu do siedziby zarządcy kopalni, którym był jeden z najbardziej zaufanych ludzi klanu – Haramuri Kovacs. Swoją wysoką pozycję zawdzięczał niezwyklej lojalności i oddaniu sprawie.

Większość klanów składała się z tak zwanych kręgów. W pierwszym był władca lub, jak w przypadku klanu Later, władcy. Do kolejnego zaliczano bliższą rodzinę – kuzynostwo, które zwykle zarządzało kopalniami oraz regionami, a do trzeciego – dalszą rodzinę i spowinowaconych, czasem wybieranych przez władców lub

zasłużonych w walce wojowników queenum. Stawali się oni dozorcami dzielnic, najmniejszych obszarów administracyjnych, oraz urzędów operacyjnych.

Klan Later od wieków stawiał na zaufanie, efektywność oraz postęp. Stąd w drugim kręgu często pojawiały się osoby, które znacząco przysłużyły się sprawie oraz ich potomkowie. Tymoteusz czasem żartobliwie nazywał to „efektywnym nepotyzmem”. Rodzina Kovacs odpowiadała za wydobywanie queenum w kopalniach oraz rafinację w centrach produkcyjnych. Haramuri usprawnił to, co niegdyś wydawało się doskonałe oraz był bliski przełomu w drodze do czwartej ery wydobywczej. Był w średnim wieku, z pierwszymi śladami siwizny na głowie, skromnej postury, co świadczyło, iż bardziej cenił umysł niż ciało. Jego spojrzenie zdradzało fascynację i pasję do wykonywanej pracy, zaś na piersi, na mundurze przypięte miał zawsze najwyższe cywilne odznaczenie klanu Later, które nosił z niezwykłą dumą. Doceniał daną mu szansę i chciał ją wykorzystać.

Hatsu siedł z mężczyznami do budynku. Po drodze mijali wracających ze zmiany, skutych łańcuchami niewolników. Poza nimi w kopalni pracowali również etatowi pracownicy, niemniej najgorsza robota spadała na uległych – niereaktywnych na queenum Demian. Dla obu braci te skute, sponiewierane ciała były normalnym widokiem – widywali go wcześniej, oswoili się i przyjęli, że tak działa świat. Widzieli młodych, starych, kobiety i mężczyzn. Każdy odczłowieczony, traktowany jak zastępowalne, nisko cenne aktywo, stan magazynowy, jak śrubka lub pokrętło, które będzie pracować, póki się nie zużyje, póki nie stanie się bezużyteczne. Nie było tu miejsca na współczucie, a gdy tylko zaczynali je odczuwać, Tymoteusz przypominał im oczywistą prawdę:

– To proste, gdybyśmy nie wygrali wojny, byłibyśmy na ich miejscu. Pamiętajcie, nie ważne z kim walczymy, na końcu wszystko sprowadza się do wyboru: my albo oni. Kiedyś były to te demiańskie ściery, teraz inne klany i Odyci. Nie możemy współczuć ich zniewoleniu, bo każdy z nich, gdyby miał szansę, zabiłby nas bez mrugnięcia okiem.

Przytaknęli. Tego, co dokonane, nie można cofnąć, zapomnieć czy przebudować. Nawykli do stawiania pomników zapominamy, że one nie znaczą nic dla ofiar, poległych czy zwycięzców. One nie pomagają zmarłym, ale mogą pomóc żyjącym, przypominając, że przeszłość czegoś nas nauczyła. Hatsu nie współczuł im, ale też nie negował ich cierpienia – po prostu je pomijał. Przyjął słowa dziadka i w jego umyśle obrazy te funkcjonowały już tylko jako konieczność, jako istniejący stan rzeczy, świadomość, że takie jest życie.

Maksymilian dostrzegł kilkoro niewolników – każdemu brakowało prawej bądź lewej ręki. To efekt ich prób odzyskania wolności. Niektórym udaje się oszukać test podatności i próbują zbudować nielegalne obręcze i zasilić je chałupniczo przetworzonym queenum. Wierzą w bunt, ruch oporu i ucieczkę. Aleksander powiedział mu kiedyś, że to głupcy ignorujący fakt, że nieustabilizowany kryształ jest niebezpieczny, zaś brak kończyny to jedyna możliwa kara

Szli dalej. Czystość ich strojów i chodnika, którym podążali, była tak różna od unoszącego się wokół nich zapachu, czarno-szarego kurzu i ludzi ubranych w łachmany. Gdy zmiana niewolników kończyła pracę, wiszące na nich szmaty układały się w morze falującego na wietrze materiału – szarość i czerń podkreślały beznadzieję ich położenia.

Dotarli do budynku i weszli do dużej sali posiedzeń. Na miejscu czekał na nich Haramuri.

– Jak się masz, przyjacielu? – spytał Aleksander, którego ton był teraz tak różny od tego, którym zwracał się do synów. Kovacs dowiedział już, że zasłużył na szacunek Laterów.

– Dziękuję, wszystko dobrze, panie – odpowiedział spokojnie.

Wszyscy usiedli przy stole i spotkanie mogło się zacząć. Do sali weszła służba, która rozstawiła na stole napoje i jedzenie. Gdy wyszli, zapanowała cisza. Haramuri wyczuł oczekiwania, wstał i zaczął mówić.

– W kwestii czwartej ery wydobywczej... – Nie dokończył, bo wtrącił się Aleksander. Haramuri minął się ze swoją idealną chwilą.

– Jakiego wydobywcę przewidujesz na najbliższy miesiąc?

– Dwa i pół hegera<sup>3</sup>, panie. – Prosta i rzeczowa odpowiedź, bez żadnych interpretacji i niedomówień.

– Jesteśmy jeden hegar poniżej punktu równowagi. Czy wszystkie złoża są znów w fazie spadkowej? Czy to ilości z uwzględnieniem nowych szybów wiertniczych?

– Tak, panie. To oznacza, że żyły queenum w mapowaniu złóż mają niższą wydajność niż zakładaliśmy – odpowiadał dalej. – W dwóch przypadkach nasze przewidywania w ogóle się nie sprawdziły i szyby były chybione, a więc przełożenie na wzrost wydobywania okazało się znikome. Za kilka miesięcy prognozujemy kolejny spadek o pół hegera. Wciąż pracujemy nad czwartą erą wydobywczą, jednak koszty uzyskania surówki według testów są wyższe niż jej wartość, osiągamy punkt przełamania.

Żeby wydobywać queenum konieczne stało się schodzenie coraz bardziej w głąb ziemi. Wymagało to opracowania nowych technologii, wzmocnień oraz konstrukcji szybów wydobywczych, natomiast wiertła, by kruszyć skałę, musiały mieć większą wytrzymałość i większą moc. Poprzednie ery udało się osiągnąć dzięki postępowi technologicznemu. Klany dysponowały technologią Odytów i umiały ją rozwinać do pewnego poziomu. Teraz jednak wszyscy dochodzili do ściany.

Aleksander zwrócił się do ojca:

– Jeśli pozostałe klany są w podobnej sytuacji, to przynajmniej zastanowią się dwa razy, czy opłaca im się atakować innych.

– Może. Ale może być też tak, że nie ryzykują już niczym i postawią wszystko na jedną kartę. Oni nie potrzebują powodów, by rozpocząć rzeź. Bez queenum każdy klan się zatrzyma, każdy upadnie, a nikogo na to nie stać. Dowiem się później, czy wywiad ma nowe informacje.

– Liczyłem na te odwierty... – powiedział w zamyśleniu Aleksander. – Jakiego mamy zapasy Haramuri, ile surówki i po rafinacji?

– Jakies sześćdziesiąt hegerów surówki i około dwadzieścia cztery po rafinacji. Łącznie po rafinacji będzie około czterdzieści hegarów.

– Ojczy, ile mamy w magazynach zbrojowni? Dziesięć?

– Tak.

– Łącznie pięćdziesiąt hegarów. Za niewiele ponad dwa lata dojdziemy do momentu permanentnych niedoborów, skurczymy się, staniemy w miejscu. Rezerwy wojskowe

---

<sup>3</sup> tona

jeszcze się nie odbudowały po ostatnim ataku na Odytów i możliwe, że już się nie odbudują.

Tymoteusz wstał i zaczął krążyć po sali.

– Musimy zacząć planować kolejny rajd na Odytów, potrzebujemy więcej queenum. Bez tego wszystko, co zbudowaliśmy, przepadnie. Teraz mamy zaufanie społeczne, poparcie i pozycję. To, co istnieje w czasach rozwoju, kruszy się w erze niedoborów. Haramuri, masz coś jeszcze? Może, dla odmiany, jakieś dobre wiadomości?

Mężczyzna nie czekał z odpowiedzią ani chwili.

– Tak, uruchomiliśmy mechanizm obliczeniowy i zaczynamy go testować.

Tymoteusz chciał go zobaczyć, udali się do podziemi, gdzie znajdowało się urządzenie. Pomieszczenie było trzy poziomy pod ziemią, strzeżone przez pięciu protegowanych, jak zwykle nazywano wojowników queenum, oraz kilkudziesięciu wojowników w egzoszkieletach.

Otworzyli drzwi, za którymi wielu badaczy pracowało nad mechanizmem obliczeniowym.

Władcy klanu byli pod wrażeniem ruchów tarcz i przełączeń zębatek, które było widać przez grube, kratowane osłony.

– Czy to już działa i co robi? – spytał Aleksander.

Haramuri zaczął tłumaczyć. Była to konstrukcja podzielona na dwadzieścia jeden segmentów. W każdym znajdowało się sto kół, każde z nich miało zębaki w pozycji poziomej, jak również zakrzywione pod kątem czterdziestu pięciu stopni powyżej i poniżej. Zasilanie queenum powodowało, że tarcze unosiły się i lewitowały w ramach swoich sekcji. Według Haramuri konstrukcja ta służyła Odytom do przeprowadzania skomplikowanych obliczeń. Począwszy od równań matematycznych, przez stosowania iteracji funkcji operacyjnych, jak pętle, instrukcje wyboru warunkowego, obliczania macierzy i zbiorów równań, po sumowanie warunkowe według encji przy użyciu tak zwanych diagramów związków encji (jak jeden do jednego, jeden do wielu czy wiele do wielu). Zakładał jednocześnie, że urządzenie to ma dużo większe możliwości i zastosowania.

Kluczem do obsługi był pulpit do wprowadzania danych. Znajdowały one odzwierciedlenie w ustawieniach talerzy. W informacji zwrotnej na pulpicie pojawiała się instrukcja, w jakiej kolejności uruchamiane mają być poszczególne sekcje, a nawet talerze. Złożone obliczenia były możliwe dzięki wykorzystywaniu jednej z sekcji jako „segmentu wyników”, który sprawiał, że ustawione w nim zębaki dawały sprzężenie zwrotne i kolejne obliczenia w pozostałej sekcji, zwanej „grupą segmentów przejściowych”. Po zakończeniu obliczeń segmenty wracały do ustawień wyjściowych. Sekcja wyników była niczym baza danych. Urządzenie było gigantyczne, sześciennie i ważyło około dwunastu hegerów.

Jedna z grup zwiadowczych natrafiła na ukrytą jaskinię na ziemiach niczyich i znalazła tam część tej maszyny z odyckimi oznaczeniami. Kovacs pracował nad znaleziskiem przez kilka lat. Podejrzał, że mechanizm obliczeniowy posłużył do stworzenia pola siłowego i odpowiadał za rozwój technologiczny Odytów. Mając więc sprawne urządzenie, którym potrafiliby się posługiwać, byłoby w stanie zmienić reguły gry.

– Tak, panie, uruchomiliśmy ją w ubiegłym tygodniu. Testy jeszcze trwają. Wprowadziliśmy do niej równania, które wykorzystywaliśmy do mapowania złóż i

wszelkie wyniki na tę chwilę są zgodne z rzeczywistością. Mamy więc uzgodnione dane bazowe. Wczoraj wprowadziliśmy informacje dotyczące potencjalnej lokalizacji nowej kopalni. Obliczenia, które wykonywalibyśmy kilkanaście miesięcy, ona zrobiła w ciągu kilku godzin. Teraz weryfikujemy wyniki. – Haramuri mówił to z przejęciem, był niczym tornado naukowej ekstazy.

– To dobre wiadomości, przyjacielu. Proponuję, abyście sprawdzali te obliczenia nie dłużej niż miesiąc i w przypadku dobrych wyników, zaczęli kopać. Wiesz, w jakiej jesteśmy sytuacji. Niczym nie ryzykujemy. To, czy zasoby skończą się kilka miesięcy później czy wcześniej, nie wpłynie już na nic – dodał Tymoteusz.

Kovacs krzyknął jakieś imię i po chwili zjawiał się mężczyzna z notatnikiem, który podał Tymoteuszowi, po czym uklonił się i wrócił do swojej pracy. Later otworzył go i widział masę cyfr, równań oraz notatek napisanych po odycku.

– Co to jest, Haramuri? – zapytał z lekkim uśmiechem, wyraźnie rozluźniony dobrymi wiadomościami.

– Wczoraj znaleźliśmy kolejną jaskinię. Był w niej ten dziennik. Zaczynamy go tłumaczyć. Są tutaj materiały dotyczące pola ochronnego Odytów. Może, mając ten dziennik i maszynę, mamy szansę ich pokonać – podsumował.

– To dobre wiadomości. Wysyłaj posłańców z informacjami, gdy będziesz choćby krok dalej – posumował Aleksander. – Czas na nas. Mam prośbę, abyś podesłał Maksymilianowi dokumentację maszyny oraz tłumaczenie dziennika, gdy będzie gotowe. – Skierował wzrok na młodszego syna. – Zapoznaj się z tym. Chcę, abyście wdrażali się w kluczowe tematy. Zaś jeśli chodzi o Hatsu, to myślę, że za kilka dni będzie mógł przejść próbę i musi teraz skupić się na tym.

Starszy z braci, słysząc to, powstał z wysoko uniesioną głową, czując przepełniającą go dumę. Był w wieku około dwudziestu pięciu lat, jednak wyglądał na dużo starszego i bardziej doświadczonego.

– Tak, ojczu – odpowiedział Maksymilian.

– Oczywiście – dodał Kovacs.

Maszyna miała za moment ruszyć, by przeliczyć kolejny set wprowadzonych danych.

– Zostańcie jeszcze chwilę, będzie bardzo efektownie – zaproponował na koniec spotkania naukowiec.